

Czergow: mały chmurnik

Było to dawno w lasach czergowskich. Czergow to pasmo górskie, niegdyś mocno porośnięte drzewami. Pomiędzy nimi biegały zwierzęta – niedźwiedzie, wilki, rysie i inne. W nocy, w ciemnych dolinach, pośrodku tych gór hukały tajemnicze sowy, najlepsi mężczyźni z różnych rodów zamieniali się w wilkołaki, a rzekami pływały pstrągi. Było to dawno. Nie miałem nawet sześciu lat.

Cały maj i czerwiec padał deszcz, ale wtedy nie mówiło się o globalnych zmianach klimatycznych. Początkiem czerwca mój ojciec, syn węglarza, później absolwent dwóch wyższych szkół, zdecydował, że spędzi romantyczny tydzień ze swoją rodziną w środku lasów, w których się wychował. Jak prawdziwy pasterz, wybudował szałas w dzikiej dolinie i zakwaterował na gałęziach jodły, pod dziurawą płachtą, moją mamę, kilkumiesięcznego brata i mnie.

W nieustającym deszczu, moja mama z chorym bratem na rękach, zrezygnowała po trzech dniach. Mój ojciec, który w tej dolinie spędzał miesiące jako młody węglarz, był konsekwentny i nie rezygnował. W związku z tym, że byłem jego synem, nikt na mnie nie chuchał. Też musiałem dać sobie radę.

Padało i padało. Gdy pada w górach, to nie jest tak, że pada bez przerwy. Kiedy deszcz przestaje, w lesie jest zauważalnie cicho, wszędzie przesuwają się porozrywane pierzyny mgieł, a z ich białej kawy wyłaniają się zjawy starych mądrych buków i jodeł.

Jedną taką przerwę ojciec postanowił wykorzystać na zaopatrzenie rodziny w zdrową żywność i złowić jakies pstrągi. Na ryby chodzi się o świcie, więc o czwartej rano w półśnie usłyszałem jakies zdanie o pstrągach i ojciec zniknął.

Zaczęło znów padać, stukanie deszczu w płachtę jest wspianiałym środkiem usypiającym, spałem więc gdzieś do dziewiątej. Kiedy otworzyłem oczy, stwierdziłem, że w ciemnym lesie jestem sam. Sam z sowami, niedźwiedziami, wilkami, dzikami, baba-jagami i wilkołakami. Tego, że rano ojciec mnie budził, nie pamiętałem, nie wiedziałem, gdzie jest. Jedynym moim zmartwieniem była walka z głodem.

Wykorzystując kolejną bezdeszczową chwilę, wyszedłem ze schronienia i badałem okolice. Po chwili szedłem już przez bezkresne poziomki i maliny, które otaczały leśną ścieżkę prowadzącą na grzbiet. Około obiadu byłem już zupełnie najedzony, ale zarazem definitywnie zgubiony. To musiał być widok! Mały przedszkolak, z kręconymi włosami, w przemoczonych spodniach, w trawie, która wysoko wystawała przez rozczochrane włosy.

Co się działo na dole, pamiętam z późniejszych opowieści moich rodziców i ich rodziców. Ojciec wrócił z kilkoma pstrągami do naszego przemoczonego szałasu i zszokowany stwierdził, że zniknąłem. Krzyczał, ale nikt mu nie odpowiadał. Po tym, jak spenetrował okolicę, wyruszył w stronę wioski i poinformował rodzinę.

Zacząła się akcja poszukiwawcza.

Ja w międzyczasie zupełnie spokojnie podziwiałem widoki z czergowskiego szczytu i w pewnej chwili wszedłem do prastarego lasu jodłowo-bukowego. Zanurzyłem ręce w pięknym miękkim mchu, głaskałem dziwne grzyby i bawiłem się z salamandrami.

Ale ciągle czekałem, że gdzieś pojawi się ten kulisty blask, o którym ojciec opowiadał mi tyle razy, że mnie będzie prowadzić dokładnie tak, jak jego. Czekałem aż nadejdzie blask i nic mi się nie stanie,

dokładnie tak samo, jak mojemu ojcu, ponieważ konary wbite w ziemię zatrzymają jodłę pięć centymetrów nad moją głową. Aby mógł później opowiadać o tym w szkole. Nie przyszedł. Nie przyszła kulista błyskawica, ani wilkołak, ani baba-jaga, która według mojej babci w tym lesie się pojawia.

Zostałem okłamany. I tak wybrałem się do babci. Do dzisiaj nie wiem, jak, ale po jakimś czasie obudziłem się w wiosce. I tam po raz pierwszy dopadł mnie strach. Wioska była wymarła. Nigdzie nie było nikogo. Żadnych ludzi, żadnych dźwięków. Ciche i puste podwórza.

Zacząłem biec do babcinej drewnianej chaty, ale i ona była opuszczona. W głowie krążyły mi historie o zaklętych, zamarzniętych wioskach, często występujące w słowackich bajkach. Szybko wyskoczyłem na ciepły piec i przykryłem się kocem.

Po zmroku znaleźli mnie rodzice ze swoimi rodzicami i z całą wioską, gdy siedziałem na babcynym piecu, chłopczyka uśmiechniętego, z kręconymi włosami, wesoło machającego nóżkami.

I wtedy pierwszy raz usłyszałem słowo chmurnik. Chmurnik* to człowiek, któremu jest dobrze w deszczu i dlatego umie przywoływać ciemne chmury. I potrafi przepowiadać pogodę. Mój pradziadek był chmurnikiem i ja podobno mam to po nim. Miałem być taki jak ciocia Anka, pracowity jak wujek Józef, ale nie, ja muszę być akurat taki, jak pradziadek.

Chmurnik, nie chmurnik, mnie z tego dnia pozostały inne wspomnienia. O pięknym mokrym lesie, pełnym tajemniczych zwierząt i stworzeń, z których nie wszystkie są łatwo dostrzegalne. Pozostały mi wspomnienia o bajkowym lesie, którego nie trzeba się bać, ponieważ pilnują nas tam wilkołaki, a baba-jaga nam nie zagrazi, dlatego, że tam tylko mieszka i chodzi straszyć do wioski na dół.

Czasy się zmieniły. Znikły drzewa, znikły zwierzęta. Tylko Czergow się prawie nie zmienia. W bajkowych lasach dorosły moje córki, po mokrym mchu chodzą wnuk i wnuczka. Przyjdzie czas, kiedy się tam zgubią i stwierdzą, że bać się w lesie nie trzeba, że bać się należy innych rzeczy.

Dlatego czasy się zmieniają. Dzisiejsza rzeczywistość wymaga pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy... I dlatego sprzedajemy wszystko. I siebie, i swój kraj. Nadszedł czas to powstrzymać.

Nie rąbcie bajkowego Czergowa, bo przywołam czarne chmury, zawołam wilkołaki i o moich babach-jagach nigdy nie zapomnicie.

Juraj Lukáč

Tłumaczenie Anna Patejuk

* Chmurnik – postać z ludowych wierzeń słowiańskich, uosabiająca zjawiska atmosferyczne. Chmurnikami byli również wybrani mężczyźni, obdarzeni mocą kontrolowania pogody. Ich mianem określano także ludzi przepowiadających pogodę.

Tekst pochodzi z internetowego bloga, który autor prowadzi pod adresem jurajlukac.blog.sme.sk na zaproszenie słowackiego dziennika „SME” (sme.sk). Przedruk za zgodą redakcji „SME”.